

ma zaszczyt przedstawić opowiadanie

**Rafała Szczęśniewskiego**

**Agent A0007:  
Wróg „przyjacielem”**

„O tak, o tak, to jest to – myślał – plaża, słońce, piękne kobiety, jest bosko, żyć nie umierać”. Idylle jednak szybko zakończył potężny dźwięk wyjących syren, wyjących niczym...budzik. Jak co dzień ustawiony na 7.30. A0007 obudził się. Jak zawsze dzień zaczął od porannych wiadomości. Włączył telewizor trafiając wprost na temat dnia: „Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Wandystanem”. Usłyszawszy to idąc w stronę kuchni zatrzymał się. Odwracając się w stronę telewizora zadał sam sobie pytanie nie wierząc w to co usłyszał:

- Że niby kurwa co?

Zbliżył się do grającego pudła, przeczytał ponownie: „Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Wandystanem”, po czym uszczypnął się w rękę by mieć pewność, że to nie sen. Niestety, nie był to sen. A0007 zaczęło przepełniać niedowierzanie i złość. Nagle zadzwonił telefon.

- A0007, słucham.
- To słuchaj dobrze – odezwał się w słuchawce – za 5 minut chcę Cię widzieć w Centrali, jest sprawa.
- Za 5 minut? Teraz? Po co?
- Oglądasz TVS?
- Tak
- No to już wiesz – zakończył rozmowę głos w słuchawce.

To był przełożony. A0007 bardzo go lubił właśnie za to, iż wzywał go do siebie w najmniej oczekiwanych momentach.

W Centrali wrzało. Dopiero co ogłoszono nawiązanie stosunków dyplomatycznych, a do Sarmacji przyjeżdża wandejski prezydent S. To właśnie w jego sprawie został wezwany A0007. Ma on zapewnić bezpieczeństwo przedstawicielowi władzy obcego, sojuszniczego państwa, za jakie został uznany Wandystan.

- Co? Mam go chronić? Temu zdrajcy najchętniej posłałbym kulkę między oczy – zirytował się zadaniem A0007.
- Wiem, i doskonale cię rozumiem. Też bym go chętnie zostawił samego, na pastwę losu. Ale to właśnie jest efekt tego całego politycznego gówna, od którego zawsze starałeś się być z daleka. Teraz jest to wysoki rangą urzędnik, któremu musimy zapewnić bezpieczeństwo...niestety.

Samolot wylądował. Wsiadł z niego S. i cała świta jego pseudo-dyplomatów. A0007 nagle odniósł wrażenie, że w jednym z okien przemknęła mu postać K. Jakby ją na chwilę ujrzał w jednym z małych okien samolotu. Trwało to dosłownie chwilę, dlatego też uznał, że to mu się tylko wydawało. Przypomniało mu to jednak o wydarzeniach na Awarze i nie załatwionej sprawie.

S. doskonale zdawał sobie sprawę z niechęci i nienawiści jaką darzyli go Sarmaci. Jednak teraz, gdy jest prezydentem Wandystanu, nikt mu nie może nic

zrobić. A nawet gdyby próbowali, to jest on chroniony przez sarmackich agentów. „Co za ironia – myślał – będą mnie chronić ludzie, którzy wówczas by na mnie polowali by mnie zlikwidować”.

- Witamy w Sarmacji – powitał go A0007 dodając po cichu – ty pieprzony zdrajco.
- Witam, bardzo mnie cieszy, że będę osłaniany przez słynnego w całym v-świecie A0007.
- Heh. Proszę się nie spodziewać zbyt wiele. Jedziemy do MSZu?
- Dokładnie, a potem mam nadzieję na Tropicane.
- Na Tropicane?
- Tak, na Tropicane. Drugiego takiego miejsca w v-świecie nie ma. Miejsca słynącego z dobrego klimatu, pięknych kobiet, wspaniałych imprez. Idealne miejsce by odpocząć i poczuć, że się żyje. Oficjalnie nazwijmy to sobie hmm... nawiązaniem współpracy z lokalnym samorządem. Najpierw jednak do MSZu omówić kwestię wymiany ambasadorów. Niektórzy chętnie skorzystają z możliwości powrotu tutaj, pozostając całkowicie nietykalnymi.
- A co z resztą pańskich ludzi? – „pańskich” jak to ciężko przechodzi przez gardło – pomyślał.
- Moi ludzie? Cóż, oni wiedzą, co mają robić. Przypomnę, że to dyplomaci, tak więc nic panu do tego.

Po tej wymianie udali się bezpośrednio do MSZu. A0007 nie uczestniczył w rozmowach. Nie miał nawet na to ochoty. Nie chciał patrzeć jak Sarmacja się sprzedaje. Jak w jednej chwili swych wrogów czyni sojusznikami. Rozmowy nie trwały długo, jednak S. był zadowolony. Rzucił tylko:

- Lecimy na Tropicane. Oj teraz to dopiero będziemy mogli – mówił z uśmiechem na twarzy zacierając ręce.

Na Tropicanie, w Soli S. od razu kazał się zawieźć do Coyaby. Usiedli sobie wygodnie i czekając na kelnerkę A0007 postanowił przerwać ciszę:

- Dlaczego akurat Tropicana?
- Lubię to miejsce, lubię tutejsze kobiety...

W tym momencie S. chwycił i ściągnął do siebie przechodzącą obok kelnerkę. A0007 miał interweniować, jednak ta oswobodziła się sama. Agent wyszeptał w myślach: „Rusz jeszcze którąś sarmacką kobietę, a osobiście cię wsadzę do pierwszego samolotu do Leblandii, gdzie przeorają twoją dupę, że aż miło”.

- Hmm, a swoją drogą to chyba tutaj na Tropicanie macie tą swoją szkołę agentów?
- Nic mi o tym niewiadomo – odparł krótko A0007.

- He he, no oczywiście wiem. W tej waszej szkole przedsiębiorczości na pewno kształcicie sobie przedsiębiorców....przedsiębiorczych agentów, he he.
- Jak już powiedziałem, nic mi o tym nie wiadomo.
- No jak uważasz – po chwili przerwy kontynuował – hmm, to naprawdę piękne. Tylko sobie pomyśl. Po tym wszystkim co zrobiłem, wracam sobie zupełnie nietykalny, jakby nigdy nic się nie stało.
- Za to co zrobiłeś powinni cię udupić do końca życia.
- Ale nie udupią. – odparł radośnie S. – A jakby było mało, to jeszcze mnie chronią. Jak sobie o tym wszystkim pomyślę...Zapewne chciałbyś wiedzieć jak to było, nie? Opowiem ci, chętnie ci opowiem. Jak tylko ja i mój zastępca, także S., otrzymaliśmy informację o tym, iż K. jest już bezpieczny, w Wandystanie, postanowiliśmy przejść do realizacji naszej części planu – paraliż wymiaru sprawiedliwości. Ogłosiliśmy strajk – coś banalnego – i czekaliśmy na dymisję. W takiej sytuacji dymisja była czymś jak najbardziej normalnym i zrozumiałym. W końcu przecież oświadczyliśmy, że nie będziemy dalej pracować. Oczywiście dymisje otrzymaliśmy dość szybko. Jedyne co nam pozostało, to konferencja prasowa, na której zrobiliśmy z siebie kozłów ofiarnych winą za wszystko obarczając Księcia. Potem już tylko na lotnisko do Poddębic, a stamtąd do Wandystanu. Najpiękniejsze jest to, że wówczas byłem potępianym przez wszystkich zdrajcą, a dziś należy mi się szacunek jako przedstawicielowi obcego państwa. Piękne prawda?
- Taa, piękne, żałuję jedynie, że wówczas w porcie na Awarze zabrakło mi chociaż jednego pocisku w komorze.
- Heh, ty naprawdę myślisz, że za tym wszystkim stoi K.? Że to on wszystko zaplanował, zorganizował i przeprowadził? Nie bądź śmieszny. Fakt, że najprawdopodobniej to on wszystko rozpoczął, od niego się wszystko zaczęło. Ale on był tylko jednym z wielu. Prędzej czy później i tak by do tego doszło. Mandragorat przecież nie powstał z dnia na dzień.
- Być może. K. jest jednak kimś kogo ścigałem, a kogo nie złapałem. Kimś kogo jednak w niedalekiej przyszłości dopadnę.
- He he, nie był bym tego taki pewien – rezolutnie odparł S.
- A ja wręcz przeciwnie. Uważam, że powinniśmy już opuścić to miejsce.

To była propozycja nie do odrzucenia. S. jednak nie zamierzał jej kwestionować. Posłusznie wstał i wszyscy udali się w kierunku wyjścia. Wychodząc z Coyaby A0007 zauważył sunącą powoli, w ich stronę, ciemną furgonetkę. Boczne drzwi pojazdu delikatnie się otworzyły. Nagle dało się zauważyć błysk połyskującej w słońcu lufy. Padł strzał. A0007, niechętnie, rzucił na ziemię S., padając tuż obok niego. Strzały ustały. Furgon zdecydowanie przyspieszył, oddalając się w kłębie dymu spod opon. A0007 szybko ocenił

sytuację. Jeden z agentów ranny. Niedobrze. Wstając, wskazując na S. rzekł do pozostałych:

- Procedury znacie. Zabierzcie go w bezpieczne miejsce. Wywieźcie go do Grodziska. I niech ktoś wezwie karetkę.

Wydawszy instrukcje spostrzegł parkowany właśnie kabriolet. Podbiegł z bronią w ręku krzycząc:

- Wypierdalaj!
- Ale... – właściciel auta już leżał, rzucony o asfalt.

A0007 chwyciwszy kierownicę natychmiast ruszył w pościg, odjeżdżając z piskiem opon. Zlokalizowanie pędzącej przed sobą, zakłócającej uliczną harmonię furgonetki nie było trudne. A0007 cisnął pedał gazu do samego końca. Auto zdecydowanie przyspieszyło, z każdą chwilą coraz bardziej zbliżając się do uciekających. Miał ich już tuż przed sobą, gdy nagle jedne z tylnych drzwi furgonu otworzyły się, a w nich pojawił się uzbrojony mężczyzna. Nagle na kabriolet posypał się grad pocisków z automatu, dokonując totalnej destrukcji przodu pojazdu, nie oszczędzając w tym przedniej szyby. A0007 natychmiast zredukował bieg i wcisnął gaz ile tylko miał sił, uciekając w lewo, próbując zrównać się z ciężarówką. Wyjął pistolet i dziękując losowi za to, że obdarował go kabrioletem, wymierzył w kierunku tylnego koła pędzącego pojazdu. Jako że droga była pusta długo nie czekał i wystrzelił dwukrotnie. Oba strzały były celne. Fragmenty rozerwanej opony poderwały się ku górze, a zaraz z nimi cały bok furgonetki. Pojazd po dwukrotnym dachowaniu zatrzymał się na przydrożnej latarni. Kabriolet zatrzymał się tuż obok wraku. A0007 wysiadł pewnie, aczkolwiek ostrożnie. Najpierw zbliżył się do jej tyłu, gdzie leżeć powinny zwłoki, strzelającego do niego mężczyzny. I słusznie tam były. A0007 przewrócił go na plecy, dokładnie się mu przyglądając. Ewidentnie wyglądał na nietutejszego. Uwagę przykuwał jego dość pokaźny tatuaż na lewym ramieniu: „Wolność, równość, niezależność”. Tatuaż na pewno coś znaczył, być może przynależność do jakiejś organizacji, jednak A0007 spotkał się z nim dopiero pierwszy raz. Następnie zajrzał do kabiny kierowcy. Tam znalazł jednego młodego mężczyznę, w zasadzie to jeszcze było dziecko. Miał on identyczny tatuaż. Nagle lekko otworzył oczy i przez duszący kaszel wyszeptał z wandejskim akcentem błaganie o litość. A0007 nie zamierzał go zabijać, nie tak młodego, zresztą najprawdopodobniej i tak się tam wykrwawi. Starał się jedynie wyciągnąć od niego jakieś informacje. Ten jednak ciągle powtarzał swoje błaganie, po czym stracił przytomność. A0007 wsiadł zatem do swojego auta i zostawiając resztę lokalnej policji, czym prędzej popędził na lotnisko. Chciał jak najszybciej rozmawiać z S. Zamach był bowiem wymierzony bezpośrednio w niego i to najprawdopodobniej przez jego rodaków.

Rządny wyjaśnienie A0007, gdy tylko wszedł do Centrali natychmiast udał się do przełożonych z pytaniem:

- Gdzie jest S.? Chyba musimy z nim wyjaśnić kilka kwestii.
- Nie ma. S. postanowił udać się pierwszym samolotem do Wandystanu. Kazał ci przekazać podziękowanie za uratowanie życia.
- Niech sobie je wsadzi w dupę.
- Mamy jednak też dobrą wiadomość. Nasz MSZ wybiera się z wizytą do Wandystanu. Będzie okazja dopaść K., więc lepiej już sobie zarezerwuj ten termin. Lecisz z nimi.
- I właśnie to chciałem usłyszeć.